INA LUTYŃ—ORSKA.

MSZA LEŚNA

CYKL PIEŚNI I OBRAZÓW.

KIJÓW—1918.
KSIĘGARNIA NARCYZA GIERYNA.
Funduklejowska 3.

MSZA LEŚNA.

INA LUTYŃ—ORSKA.

MSZA LEŚNA

CYKL PIEŚNI I OBRAZÓW.

KIJÓW—1918.
KSIĘGARNIA NARCYZA GIERYNA.
Funduklejowska 3.

DRUKARNIA POLSKA w KIJOWIE

Matce mojej

poświęcam.

Świta — Już na błękitach przejrzyste obłoki
Niewidzialnym promieniem płyną prześwietlone:
Ziemia jeszcze uśpiona, jej oddech głęboki
Porusza mgły oparów nizko rozciągnione.

Łąki, pola dalekie marzą jeszcze senne,
I wierzby ponad wodą nie chwieją się, chylą,
I nieruchome stoją brzozy białopienne,
Czekając ciebie, święta słońca wschodu chwilo!

Na skraju boru cicha zagroda leśnika
Jeszcze drzemie w uśpieniu: nie skrzypią żórawie,
W okna, szczelnie zamknięte, tarcza słonecznika
Próżno dotąd zagląda, a malwy jaskrawie

Nad grzędami warzywa wykwitają pyszne
I rosą operlone dźwigają korony.
Mijam śpiesznie ustronie barwne i zaciszne
I w głąb lasu podążam... Bór jeszcze uśpiony,

Jeszcze pełen świeżości, i rosy, i woni.
Lecz już świta — już jasność zstępuje powoli,
Lecz już świta — radośna wieść po lesie goni,
Lecz już świta — dość mroków hańbiącej niewoli!

Lilijowe dzwoneczki pierwsze zadzwoniły,
Oznajmiając po borze słońca ukazanie,
I melodją swą dźwięczną cały las zbudziły,
I zaraz zaszumiały sosny na organie,

I dęby grać poczęły hymny powitalne.
W jeden chór połączone lipy i choiny,
Buki, graby i jodły — niosły tryumfalne
I hosannowe pienia: Witaj nam, jedyny

Dawco szczęścia i życia! Witaj, słońce boże!
W gniazdach rzesza skrzydlata też zaczęła śpiewy
Głośne, dźwięczne, poranne... A nad borem zorze
Rozpalały się jasne. Różane ulewy

Pochłaniały ostatnie mrocznej nocy cienie.
Szczyty sosen złocistą siecią oplątały
I w bór biegły zwiastuny — słoneczne promienie.
— — — — — — — — — — — — — — — — —
I rozdzwonił się szczęsnym weselem las cały...

* *

CONFITEOR.

Spowiadać się przed Tobą idę, Panie, grzeszna
I wyznanie win moich nieść pragnę w pokorze.
— — — — — — — — — — — — — — — —
Słońce tylko co wstało, bo godzina wczesna,
I drzewa się przed chwilą obudziły w borze,

Dumne głowy w promiennym kąpią senne świcie
I w porannym chorale łączą swoje głosy
Z cichą modlitwą dzwonków, co lasu poszycie
Haftują w ametysty, świetliste od rosy.

Wyzłocone pnie sosen stoją nieruchome,
Bogactwem szat godowych błyszcząc migotliwie,
Wierzchołki hardych szczytów wznoszą w górę
[strome;
Do stóp ich rozproszone ściele się igliwie.

Szepcą konary dębów bujne, rozłożyste —
Pacierze o poranku, co rozrzucił jasną
Siatkę złotych promieni w powietrze przeczyste,
Upojone ziół wonią i świeżością własną.

Pochylają się klonów rozmodlone czoła.
Otrząsając łzy nocy z gałązek warkoczy,
Brzózka w śnieżnej sukience, dziecinnie wesoła,
Pod opieką lip starych ku polance kroczy.

Wysłana szmaragdowych traw wonnym kobier-
[cem,
Śni sen cudny, ostatni pierzchającej nocy
Zapomiana polanka leśna. Ona — boru sercem,
Tajemniczy przybytek jego czarów mocy.

Snują się chłodne cienie nizko ponad ziemią,
U zwartych ścian polanki ścieląc się mgłą siną.
Brylantowe kropelki na kwiatach się mienią,
Podobne do łez moich, co mi z oczu płyną.

Idę w modlitwę lasu cała zasłuchana,
A choć świty różane palą się nademną,
W sercu moim otwiera się głęboka rana,
Rzeźbiona ręką żalu. I w duszy tak ciemno...

Przed pięknem Majestatu Twego ukorzona,
Co się w blasku potęgi roztacza dokoła,
O pień brzozy płaczącej wspieram swe ramiona
I stygmatem pokuty zdobię myśli czoła.

I z win moich spowiadać się pragnę przed Tobą
W tej świątyni przedziwnej, w rozszeptanym
[borze —
— — — — — — — — — — — — — — —
Żem dumnie się stroiła rozpaczy żałobą,
Gdy mi własnego szczęścia gasły złudne zorze,

I, w smutnych rozmyślaniach zatracając siły,
Usypiałam trującym haszyszem — snem duszę,
Gasiłam nad nią ognie, co jasno świeciły,
Skazując ją na męki, ciemności katusze...

Żem ramion mych do czynu nie dźwigała chętnie
I w bezczynności trwałam długie dnia godziny,
Żem obok walki innych stała obojętnie,
Nie chcąc opuszczać cichej moich snów krainy...

Żem na jawie mych skrzydeł nie rwała do lotu
W przyszłość, zdobycie której wszak do nas należy—
Żem wierzyła urojeń fałszywemu złotu,
Dobrowolnie zostając u prawdy rubieży.

Żem winna jest potrzykroć: winna wobec Ciebie,
Względem braci mych wkoło,dla których ja siostrą
Nie byłam prawie nigdy w życiowej potrzebie,
A względem duszy własnej — krzywdzicielką
[ostrą...

W Twojej leśnej świątyni, rozgłośnej od śpiewu,
Wielbiącego Twą wielkość, gdy blasków świtanie
Zeszło w bór, uroczysty od modlitw powiewu,
Racz przyjąć, Sprawiedliwy, szczere win wyznanie!

Promieniem przebaczenia błyśnij mi nad głową,
Na duszę moją zeszlij przedświt odrodzenia,
By drogę życia mogła rozpocząć nanowo,
By, jako o zórz wschodzie, stała się z płomienia

* *

INTROIT.

O! pozwól mi, że teraz z duszą odrodzoną
I z sercem pełnym nowej pogłębionej wiary
Pójdę, gdzie sosny ciemną łączą się koroną,
Do świątyni tej Twojej gotyckiej, prastarej —

Kędy biała konwalja na mszę świętą woła,
Bijąc w srebrne dzwoneczki; gdzie grają organy
Drzew odwiecznych, a modlą się krzewy i zioła;
Gdzie bór cały w modlitwie swojej rozkochany...

Kędy poprzez zielone, wzorzyste witraże
Światło sączy się z nieba tak ciche, łagodne,
I gdzie się Twa ofiara w złotej słońca czarze
Wypełnia od wiek wieków... A ja — Twe niegodne

Dziecię — dziś pod sklepienia świątyni cieniste
Idę — i duszy mojej tajemnicze drżenie
Włączyć chcę w modły Twoich drzew i kwiatów [czyste.
O! pozwól mi wypełnić to święte pragnienie...

* *

KYRIE ELEJSON.

Zginamy dziś przed Tobą kolana w pokorze,
Który nad światem całym dzierżysz królowanie
I Który masz w niebiosach wśród gwiazd swoje łoże:
Nad naszą nędzą wielką ulituj się, Panie!

Jedną tylko modlitwę wyszeptać dziś zdolni,
Gdy zmierzymy, jak długie nasze w błędach
[trwanie,
Żeśmy w służbie Twej dobrej niechętni, powolni:
Nad słabością dusz naszych ulituj się, Panie!

Mocą swoją do życia obudź nasze serca,
Duszom naszym świetlane zeszlij zmartwych-
[wstanie,
Niech nas ziemia trującym jadem nie uśmierca,
Błagamy Cię gorąco — zmiłuj się o, Panie!

Niech nam Twojej dobroci zabłysną promienie,
I przed tron z gwiazd doleci naszych próśb
[wołanie:
Woli słabej, skażonej zeszlij odrodzenie,
By ku Tobie dążyła — zmiłuj się o, Panie!

W Tobie nasza nadzieja i pomoc jedyna,
Pod skrzydłami błękitów zło nas nie dostanie,
Więc, jako opuszczona, bezbronna dziecina,
Z ufnością się zwracamy: ulituj się, Panie!

Korzymy się przed Twego wszechświata budową,
A pamiętni na zawsze władne: niech się stanie!
Czekamy na to jedno wyzwolenia słowo
I z wiarą powtarzamy: ulituj się, Panie!

* *

GLORIA.

Chwała Tobie, Jedyny, przez wiek wieków chwała!
— — — — — — — — — — — — — — — — — —
O, wsłuchaj się: ku Tobie rozdzwonione głosy
W tej poranku godzinie szle natura cała —
Blade dzwonki kielichy otrząsają z rosy,

Nad strumieniem konwalja dzwoneczkami dzwoni,
I rumiana poziomka wygląda z pod trawy,
I mech srebrny z pokorą ku ziemi się kłoni,
Abyś zwrócił i w jego stronę wzrok łaskawy —

Paprocie swe pierzaste podnoszą ramiona,
Nad niemi drzewa boru w jeden hymn zaklęte.
Jedna jedyna pieśń z prastarych drzew wzbija się
[łona,
Wielbiąca imię Twoje ponad wszystko święte.

O, wsłuchaj się: dzięciołów stukanie po lesie
Zagłusza zgodna ptasząt poranna kapela;
Jak głos wilgi po rosie daleko się niesie;
Ile w duecie szczygłów radości, wesela!

I jak echo powtarza kukułki wołanie;
Jak kos, wcześnie zbudzony, wygwizduje głośno;
Jak szarej chmurki wróbli wzbija się ćwierkanie;
Jak ruda wiewióreczka chowa się za sosną,

By ku Tobie drobnego serduszka modlitwę
Nieść w skupieniu z ukrycia. Dwie sarenki małe,
Porzuciwszy wśród kwietnej polanki gonitwę,
Stanęły w słońcu złote, hymnem skamieniałe.

O wsłuchaj się w chór muszek i barwnych motyli,
Co tęczową gromadą wzbiły się nad kwiaty,
I w nieznaczny szmer mrówki, co unieść się sili
Na drożynie do kopca jakiś plon bogaty;

I w brzęczenia do barci wracającej pszczoły,
I w szept wiatru, co lekko trąca gałęziami
I rozwiewa po lesie woń żywicznej smoły —
O wsłuchaj się w bór świeży, drgający pieśniami,

W ten jeden hymn pochwalny, co ku Tobie leci...
I w serca człowieczego najcichsze wołanie,
Które wśród burz i losów okrutnej zamieci
Chwałę Twoją wyznaje, wiekuisty Panie,

Każdym swoim uśmiechem, każdą łzą rozpaczy,
Podniosłych wzlotów chwilą, szałem uniesienia,
Męką swoją i trudem wytrwałych oraczy —
I pieśnią nieśmiertelną swojego cierpienia!..

* *

EPISTOŁA.

A ja wam dziś powiadam, że jesteście z ducha
I miłości poczęci, do życia wezwani.
Jeżeli z was kto w głosy wewnętrzne się wsłucha,
Lub w ciszę się pogrąży, albo do otchłani

Wieczności spojrzy śmiało w natchnienia godzinie,
Temu ta prawda sama jasną się ukaże,
I wstęgą legendową w oczach się rozwinie
I serce rozpłomieni w najświętszym pożarze.

A ja wam dziś powiadam, że wy — dla miłości
I przez miłość stworzeni — jej tylko żądacie;
Że bez niej rozpacz, nuda w sercach waszych gości,
Bo one dla niej jednej palą się w obiacie.

Ona waszą tęsknotą, waszych serc wołaniem —
Wszystko inne obłudą i fałszem na świecie,
I katorgą, i w mrokach bezcelowym trwaniem —
Bez niej wy, niewolniki, w marnych pętach mrzecie!

A ja wam dziś powiadam, byście ukochali
Dusze własne miłości cudownym bezmiarem

I w szatę tej miłości, jak w puklerz ze stali,
Serca wasze zbroili; byście nową wiarę

Na sztandarze wyszyli złocistemi głoski,
Wiarę w piękno i wielkość duszy swojej własnej;
Abyście w niej dostrzegli wizerunek boski
I piętno nieśmiertelne, promieniste, jasne.

A ja wam dziś powiadam, byście wznieśli dusze
Ponad ziemię na godne jej stóp piedestały;
Ażeby nie więziły jej w błocie katusze;
Ażeby jej cielesne żądze nie wiązały;

Ażeby jej oddechy nie truły przyziemne
I grobu nie nazwały jej kresem istnienia;
Żeby nie szła przez lochy beznadziejne, ciemne,
Ażeby się własnego nie lękała cienia.

A ja wam dziś powiadam, byście ducha strzegli
Od zła i nienawiści i wiedli na słońce;
Ażebyście ołtarzy świętych nie odbiegli,
Bo one są, jak źródła wieczyście bijące,

Bo przy nich rozmodlony duch—poznaje siebie,
I próżnych trosk się zbywa, i skrzydeł dostaje,
I, pracując na ziemi, już marzy o niebie,
I poprzez śmierci wrota widzi szczęścia kraje.

A ja wam dziś powiadam: nauczcie się kochać
Boga, wieczność i siebie, i wszechświat, i ludzi,
Bo bez miłości — tylko rozpaczać i szlochać
Lub skamienieć. I poco każdy z was się trudzi

Na złej drodze?.. Prawdziwie siebie ukochajcie,
Tak słonecznie i prosto. Duch — płomień
[w iskierce —
I tylko ukochaniem skrzydeł jemu dajcie —
Na taką miłość dawno czeka wasze serce.

* *

DEO GRATIAS.

Za prawdy Twojej żywej poznane promienie,
Które duch w rozłożonej księdze świata czyta,
Za ten klejnot bezcenny — żem jest, za istnienie
Niechaj każda myśl moja podzięką rozkwita.

Dziękczynieniem niech każda kropelka krwi
[dzwoni,
I serca mego trwożne, a radośne bicie,
I każde uderzenie pulsu w mojej skroni
Niechaj Ci, Boże — Stwórco, dziękuje za życie.

A kiedy tak wędruję przez zielone bory,
Poprzez kwietne polanki, i wzgórza, i jary,
Które mi Ty Sam w barwne przystrajasz kolory,
To klękam pod kolumną białą brzozy starej

I, wzrok oczarowany podnosząc ku górze,
Ku słońcu śmiejącemu się na niebios stropie,
Szukam Cię, Jasny Panie, w promiennym lazurze,
Jako małe, naiwne, wiejskiej chaty chłopię,

Co, choćby Cię dojrzało — to się nie przelęknie,
Bo wie, żeś Ty — Pan możny, lecz także łaskawy.
A ja marzę o Tobie jeszcze, jak o Pięknie
Nieskończonym... I, marząc tak, klęczę wśród trawy

I ziół pachnących leśnych i składam Ci dzięki
Za dzień od słońca złoty, za las balsamiczny,
Za wszystkie hojne dary Twojej szczodrej ręki,
Razem z całą naturą — za dar życia śliczny.

* *

EWANGIELJA.

Szłam zwolna poprzez haszcze i dzikie ostępy
Pod nizkim, zacienionym z gałęzi sklepieniem,
W sercu lęk się przyczaił niejasny i tępy,
Jakaś rzewna tęsknota za słońca promieniem —

Jakieś ciche pragnienie w piersiach zaszeptało
I zbudziło niepokój — Błądzę... Odblask trwogi
Padł, mrokiem chłodu okrył nagle duszę całą.
W którą udać się stronę? Nie znam, nie znam
[drogi!..

Wokół mnie niebotycznych pni zwarte szeregi,
W górze tylko dostrzegam baldachim zielony
Liści gęsto splątanych. Jak fala, o brzegi
Uderzając, łka groźnie, tak z szumem korony

Drzew wyniosłych nademną drżącą się chyliły.
Lecz szłam naprzód, bezwolnie wyciągając dłonie,
Odsuwając gałęzie, co po twarzy biły;
Aż blask jakiś dostrzegłam i błękitne tonie

Niebios jasnych nad głową: jam na skraju lasu,
Przedemną łąk rozlewna, bogata równina,

Pełna woni miodowych, pełna barw hałasu,
Kolorowa, jak w święto krakowska dziewczyna,

Ruczajem, by błękitną wstęgą, przepasana,
Ujęta półkoliście ciemną linją boru,
Tak słońcem wypieszczona, kwieciem haftowana,
Jak indyjska tkanina zmiennego koloru.

Oczy moje zwabiła swym barwnym migotem.
A nad nią nieb kopuła czysta i promienna,
I słońce sunie cicho przez gościńce złote,
I płynie jasność szczęściem i dobrem brzemienna.

Więc stanęłam bez ruchu w słonecznej ulewie,
Na piersiach skrzyżowawszy w rozmodleniu ręce.
— — — — — — — — — — — — — — — —
Błąkamy się wśród mroków — Czyliż nikt z nas
[nie wie,
Ile szczęścia jest w słońcu? O, czemuż goręcej

Nie pragniemy się wyrwać z ciemności niewoli,
By pić blaski promienne, czystej prawdy zdroje?
Czemu ciemność kochamy? — Wszak brak światła
[boli...
— — — — — — — — — — — — —
Jak posąg nieruchoma, w słońcu szczęsna stoję,

Istotą całą pijąc świętość objawienia,
Jaką z nieba zsyłają ziemi światła gońce,
Które duszę mą władną potęgą przemienia —
Wszechżycie i wszechradość dajesz sercu, słońce!

Jest w tobie moc, odrodzeń jakichś wiecznych siła.
Mowy twojej bór słucha, i ta łąka w kwiatach,
I ja, któram wśród cieni tak długo błądziła.
Słucham, patrzę, i wierzę, i śnię o zaświatach

Tak pięknych, jako słońce, co po nocy wschodzi.
Wszystkie myśli — zwątpienia bledną, gasną, giną.
Przedemną łąka, w kwietnej tonąca powodzi,
A słońce idzie dalej z swą dobrą nowiną...

* *

C R E D O.

Wierzę w Ciebie, że jesteś Wszechmocą, Wszechsiłą,
Która z nicości może jednym słowem światy
Stwarzać, o których serce Twoje kiedyś śniło;
Że wola Twoja nie zna, co to musów kraty,

Nie ma pana nad sobą, bo Tyś — świata Panem.
Twojej woli podlega wszeschwiat niezmierzony,
Ty czuwasz nad nim, jako matka nad kochanem
Dziecięciem—Lecz nam Ciebie tajemnic zasłony

Z niezbadanych wyroków kryją, zasłaniają.
Wierzę w Ciebie, że — jesteś, że Ciebie poznamy.
Nawet ci, których serca zimne nie kochają
Ciebie — Pana błękitów, u wieczności bramy

Poznają i upadną przed Twoim obliczem,
Gdy objawisz nam Prawdę w całym majestacie.
Wierzę, żeś jest Potęgą, a ja—prochem, niczem,
Który serca tęsknotę niesie Ci w obiacie.

Wierzę, że jesteś prawdy najgłębszym Wcieleniem,
Dla słabych naszych myśli dzisiaj — niepojęty,

Że Cię przeczuć jedynie możemy pragnieniem,
Żeś jest Światło najwyższe, żeś jest Święty, Święty...

Że przed Tobą obłuda i pozory bledną,
A fałsz wszelki dłoń Twoja na pył drobny kruszy,
Bo Ty jesteś tą Prawdą doskonałą, jedną,
Co będzie ukojeniem ludzkiej biednej duszy.

Wierzę w Ciebie, żeś dobra najwyższą Skarbnicą,
Hojną w darach, rozrzutną, miłościwą dłonią,
Co zło zetrze w proch myśli jednej błyskawicą —
Że się z wiarą ku Tobie mnogie serca kłonią,

Bo miłosierdzia Twego nieprzebrane czary
Najbardziej nędznych, podłych mogą na wyżyny
Wznieść szczytne, gdzie ich żalu obejmą pożary,
I przepalą, i zniszczą, że znów między syny

Twoje wejdą, jak oni, tak czyści i biali...
I w sprawiedliwość sądów Twoich, Panie, wierzę;
Choć czasem dłoń karząca Twoja jest ze stali,
Schylam głowę i pytam: gdzież mych win rubieże?

Wierzę w Ciebie, żeś Piękno najczystsze, wyśnione,
Za jakim tylko dusza moja tęsknić może,
Czekając chwili cudu, gdy zerwiesz zasłonę,
I oczy me spragnione olśnią złote zorze...

Wierzę w Ciebie, żeś Wieczny i trwasz Nieskończony
Bez początku i końca w czasie i przestrzeni,
Że gwiazdy się splatają dla Ciebie w korony,
Drogę Twoją uściela miljon skier, promieni —

Że dusze nasze, z Ciebie przez miłość poczęte,
Są, jak Ty, dobre, piękne, skrzydlate, jak ptaki;
Póki w ciało zakute, wędrują przez kręte
Drogi życia, i walczą, i w trudzie śnią szlaki

Twoje jasne, podniebne... Lecz ich droga nuży,
Nieraz skarżą się, cierpiąc i wlokąc kajdany,
Często błądzą i piją z zakazanej kruży.
Ale dzień wyzwolenia nadejdzie kochany!

Wierzę, że do przedwiecznej wrócimy Ojczyzny,
Kiedy minie czas próby, gdy dusza tęskniąca
W blasku Twojej miłości rany swe zabliźni —
Wierzę, że na nas czeka tam królestwo słońca!

* *

OFFERTORIUM.

Jakże wysoko wbiegło słońce na błękity,
Jako kielich wzniesiony przez ręce kapłana:
Las cały w jedną złotą jasność upowity.
Ja stoję w jego głosy pilnie zasłuchana.

Oto powietrze pełne zapachów i woni,
Jako dymy kadzideł wzbija się ku górze —
Oto sasanka główkę swą omszoną kłoni —
Oto powój oplata dziką, polną różę —

Oto jaskier złocistym oczkiem strzela z trawy
I haft snieżny płateczków drobnych okazuje —
Oto nad krzew jałowcu wyczki pęd ciekawy
Liljowemi motylki w górę ulatuje —

Oto dąb w dłoniach trzyma bogate żołędzie,
I błyszczą pośród igieł sosny świeże szyszki,
A na igłach siateczkę srebrną pająk przędzie —
Oto pełzną po korze w futrach miękkich liszki—

W bujnym gąszczu leszczyny znikł ogon wiewiórki—
Stoi dzika jabłonka owocem okryta —

Oto mrówek z igliwia sypane pagórki,
A obok purpurowy muchomor wykwita.

Grabina w strąki pełne zielone przybrana,
Wystrojona, jak w święto wioskowa dziewczyna,
I przez nią jarzębina zazdrością rumiana
Świeże kraśne korale do włosów przypina.

Wszystkie drzewa się stroją na te letnie gody,
Wszystkie słońcu złotemu niosą na ofiarę
Wdzięk rozkwitły, i świeżość, i bujność urody —
Wszystko życiem połyska, czy młode, czy stare.

Ja, w ich koło ofiarne wplątana, złączona
Wolą własną z tym leśnym bogatym żywiołem,
Pytam się samej siebie: Czym dość ośmielona
Wystąpić z swą ofiarą przed drzew zwartym kołem?

I, chociaż zalęknieniem serce jeszcze bije,
Wznoszę głowę, ku niebu wyciągam ramiona —
A orszak ofiarników w dal się leśną wije...
— — — — — — — — — — — — — —
O, Panie! Dusza moja, hymnem rozdzwoniona,

Na chwałę Twoją cudną, dla Ciebie jedynie
Żyć pragnie, tylko Tobie jedynemu służyć!
Nie pamiętaj o moich słabościach, i winie,
I o tej drodze smutnej, która mnie tak nużyć,

A Ciebie znów obrażać zaczęła tak bardzo —
Nie pamiętaj o chwilach, spędzonych daleko,
Bo niemi dzisiaj wszystkie myśli moje gardzą,
I na samo wspomnienie łzy po twarzy cieką,

A ja niosę przed tron Twój te łzy i wspomnienia,
Moich mąk długich ciemną przepełnioną czarę,
I wszystkie zawiedzione moje sny — marzenia,
I moją niezłamaną, zawsze żywą wiarę,

I wszystkie moje czyny, smutków moich chwile,
Wzloty w krainę ducha, tęsknotę za słońcem —
I godziny rozpaczy, gdy leżałam w pyle,
I pragnień moich wszystkich purpury gorące.

Ja Ci przynoszę owe niespłakane farby
Duszy mojej—w godzinę tych ofiar przeczy-
[stych —
I wszystkie zapomniane serca mego skarby,
I święte echa przeczuć niepewnych i mglistych.

A Ty ofiarę moją przyjm w niebiosach, Panie,
Tak łaskawie, jak dary przyjmowałeś boru,
I daj głosowi memu wśród gwiazd posłuchanie:
Niechaj z ziemi doleci do Twojego dworu...

* *

PREFACYA.

Przedemną się rozwinął jasny pas wyrębu,
Szeroka przestrzeń bez drzew, poprzez las biegnąca.
Więc stanęłam na brzegu jej, pod cieniem dębu
Chroniąc się od południowego skwaru i gorąca.

I oczy me olśnione poiłam widokiem
Traw przebujnych i kwietnej rozciągłej polany.
Ona się wprawo lekkim podnosiła stokiem,
Aż ku wzgórzu, którego szczyt, słońcem oblany,

Zdaleka nęcił oczy moje, światła głodne.
A przedemną barwisty kładł się pas pod stopy,
Jako kobierce Wschodu puszyste, wygodne; —
A nademną słoneczne rozjaśnione stropy

I powietrze od kwiatów miodem słodkim wonne
I kurzawą motyli zdaleka tęczowe.
Aż krasą tą pijane me serce bezbronne
Zapragnęło iść dalej na to wzgórze płowe

I tam, stanąwszy w słońcu, porzuciwszy ziemię,
I jej próżne zabiegi, troski, niepokoje

Pogubiwszy wśród kwiatów, jak zbyteczne brzemię,
Dojrzeć złociste niebios zamkniętych podwoje!

I w pełni zapomnienia, bo mi ziemia zbrzydła,
I zbyt marnemi zdały się jej wszelkie pęta,
Lecieć ku słońcu, myśli rozwinąwszy skrzydła,
I stać się, jak ono, wkroś ogniem przejęta...

* *

SANCTUS.

Święty, Święty, Najświętszy!.. W słonecznej ulewie
Zatopiona, wśród kwiatów ku Tobie dążąca
Dusza moja o ziemi już zgoła nic nie wie,
Jest tylko dzieckiem Twoim z praojczyzny słońca...

Święty, Święty, Najświętszy!.. Tam przedemną [wzgórze,
A przed nim tron Twój, z złotych spleciony [promieni.
Idę, dążę ku Tobie i, jak polne róże,
Serce moje miłością świętą się rumieni...

Święty, Święty, Najświętszy!.. Z wezbranego łona
Pieśń najczystsza zachwytu, uwielbienia wzlata.
W jasności Twojej kręgi wiernie zapatrzona,
Iść pragnę, nawet myślą daleka od świata!..

* *

MEMENTO.

Ze szczytu oczy moje ku dolinie zbiegły,
Zabłądziły w zarośla, nad rzeką rosnące,
I ze zdziwieniem wielkim ludzi tam dostrzegły,
Wozów parę i konie, w łące się pasące.

Rozłożone ognisko rozpryskuje skrami,
Na żerdziach zawieszony kociołek ze strawą;
Obok dzieci gromadka z ciemnemi główkami
Wkrąg napełnia powietrze krzykiem, śmiechem,
[wrzawą.

Przy ognisku kobieta stara gospodarzy,
Z pod chusty siwe pasma włosów wyglądają,
Płomień igra na czarnej wychudzonej twarzy;
Nieopodal mężczyźni uprząż naprawiają.

Młody cygan do wody zapędza źrebaka
I wesoło się śmieje do smukłej dziewczyny.
Ona wiadrem zalotnie potrąca chłopaka
I w dół zbiega ku rzeczce. A złote bursztyny

I korale czerwone skaczą jej na łonie
W takt chodu pośpiesznego. Z pod chustki
[czerwonej
Gałązeczką kaliny warkocz ciemny płonie.
Już powraca i wiadro, wodą napełnione,

Stawia żywo przy ogniu; na chłopca spojrzała
I rozkosznym, serdecznym zadzwoniła śmiechem.
Zerknęła nienawistnie ku niej twarz zrudziała
Cyganichy schylonej, lecz bór wkoło echem

Radosnym odpowiedział młodemu weselu.
A cygan rzucił jakieś słóweczko gwałtowniej
I począł nagle błądzić w zaroślach bez celu,
Gdy młoda wzięła konew, ku rzeczce ponownie

Zbiegła, śmiejąc się głośno. I znikli oboje
Za wierzbami nad wodą. A cyganka stara
Coś krzyczała, rękami machając, i dwoje
Małych dzieci trąciła. Te w płacz, na to mara

Czy cień ludzkiej postaci wysunął się z wozu —
Jakaś chora kobieta, płachtą okręcona.
Rozpoczęła się kłótnia. I aż się powrozu
Musiał jąć jeden z mężczyzn, bowiem zaperzona

Stara wiedźma — cyganka już bić wszystkich
chciała.
Krzyk uczynił się wielki; z wierzb nadbiegli
młodzi;
Pod budą wozu kryje się chora nieśmiała,
Jakiś cygan ogromny wszystkich z trudem godzi.

Wreszcie cisza zaległa. Słychać skier pryskanie...
Już strawa uwarzona; nad misą się chylą
W najlepszej zgodzie czarni wędrowni cyganie.
O! pozorem harmonji świetnie oczy zmylą.
— — — — — — — — — — — — — —

Porzucam moje wzgórze i widok taboru,
Odbiec pragnę ich śpiesznie, jaknajprędzej dalej
Skryć się w głębiach przepastnych i tajemnych
boru,
Odbiec ludzi, ich wszystkie małe, próżne żale.

Daremnie!... To cygańskie w lesie koczowisko
Poruszyło znów we mnie uciszone struny:
Znów pamiętam, że noszę człowieka nazwisko
I że z nim się położę samotna do truny...

Tak, ja jestem człowiekiem, i ludzie mi blizcy,
I ich sprawy nie mogą być mi obojętne,
I że prawo do serca mego mają wszyscy,
A zwłaszcza ci, dla których życie złe i smętne.

* *

KONSEKRACYA.

A nademną wysoko słońce południowe
Stało w niebie — Szłam wolno poprzez wyręb
cichy,
Ku błękitom podnosząc zamyśloną głowę.
Zdało mi się, że nagle kwiatowe kielichy

Musnął powiew nieśmiały, i one brzęknęły,
Niby szklane dzwoneczki, i znieruchomiały.
A podemną się same kolana ugięły,
Bo uczułam, że w ciszy las utonął cały

I w skupieniu najwyższym czeka swego Pana.
I słońce na błękitach bieg wstrzymało chyży, —
Więc chyliłam się nizko drżąca, rozełkana,
A czułam, że Bóg stąpa, że jest coraz bliżej —

W tej ciszy i w tym słońcu, rzuciwszy zaświaty,
Idzie poprzez bór dziki, przez haszcze, rozłogi,
I z próśb nieśmiałych leśne Sam spowiada
kwiaty
I trawy, które Jemu ścielą się pod nogi.

Więc upadłam na ziemię i — tak pochylona —
Rzucałam do stóp Jemu w pokorze me serce,
I modlitwa gorąca wybiegła mi z łona...
— — — — — — — — — — — — — — — —
A On szedł lekko, cicho przez kwiatów kobierce.

* *

PODNIESIENIE.

O, jest na świecie, Panie, blizka mi kraina,
Której dzieci są braćmi mojemi z Twej woli,
I która się pod cierpień bezmiarem ugina,
A której każda rana, jak własna, mię boli...

O, są na świecie, Panie, takie wielkie bory,
Pełne dębów i jodeł, białych brzóz i sosny,
Które obce i wrogie dziś rąbią topory,
Które nigdy już nowej nie zobaczą wiosny...

O, są, Panie, rozległe i bezkreśne pola,
Na których się złocisty łan zboża kołysze,
Nad któremi stanęła okrutna niedola
I nad niwą zdeptaną zawiesiła ciszę...

O, są, Panie, zielone, kwiatów pełne łąki,
A nad niemi motyle połyskują tęczą,
Tylko, że teraz kwietne stratowane pąki —
Pod kopytami koni w pyle leżąc — jęczą...

O, są, Panie, na świecie błękitne strumienie,
Które szumią radośnie, po kamykach dzwonią,

Tylko, że teraz żalu pełne ich dzwonienie,
Bo od krwi bratniej jasne fale ich się płonią...

O, są, Panie, na świecie strzechą kryte chaty
I ogródki, malw pełne, i w opłotkach brzozy,
Które teraz rujnują pociski armaty,
Nad któremi się ognia straszny pożar sroży...

O, są na świecie, Panie, dwory stare, dawne,
Z winem w ganku, lipowym okrążone wieńcem,
Z których noga żołnierska płoszy widma sławne,
A krew dywany zblakłe odświeża rumieńcem...

O, są na świecie, Panie, zacienione parki,
I strzyżone aleje i kwietne gazony,
Które obozów gwarne zaległy jarmarki,
Których drzewa złamane, kwietnik poniszczony...

O, są na świecie, Panie, miasta, w których tętni
Życie gwarne, ochocze, życie pracowite,
I takie, gdzie się włóczą ludzie trwożni, smętni,
Których mury w szrapneli dymów upowite...

O, są na świecie, Panie, dzieci z bladą twarzą,
Którym od płaczu zgasły niebieskie oczęta,
I które o swym domu próżno we śnie marzą...
Niech o łzach tych dziecięcych Twa dobroć
[pamięta!

O, są na świecie, Panie, zbolałe kobiety,
Które swym dzieciom głodnym dać nie mogą
[chleba,

I których wyczerpane siły blizkie mety.
O, niechże je pokrzepi promień łaski z nieba!

O, są na świecie, Panie, nieszczęśliwi męże,
Co stanąć piersią muszą przeciw braciom swoim
I we krwi tej braterskiej splamić swe oręże —
O! niechaj krwią zdobędą przyszłość, którą roim.

O, są na świecie, Panie, tacy biedni ludzie,
Co, chociaż dzieci Twoje, nie mają swej ziemi,
A o Ojczyźnie swojej marzą, jak o cudzie —
Tyś Wielki, Miłosierny — zlituj się nad niemi!..
— — — — — — — — — — — — — — — —

Wzniosłam ku niebu oczy, napełnione łzami,
I modlitwę kończyłam zbolałemi wargi.
A słońce znów sypało iskier brylantami
I słuchało uważnie głosu mojej skargi.

I tak jasno i dobrze patrzyło się ku mnie,
Taką złotych promieni pieściło otuchą,
Że nadzieje znów w serce uderzyły tłumnie
I uśpiły na chwilę rozpacz jego głuchą.

I podniosłam się z klęczek — może wysłuchana —
Może szept mojej prośby doleciał do Niego,
Który przeszedł koło mnie, do mojego Pana —
On usłyszał... Więc czego mam się smucić, czego?

* *

REQUIESCANT IN PACE.

Z ciszą w sercu, na duszy bardzo pokrzepiona
Idę dalej — wciąż dalej — w głąb cienistą lasu.
Znikła mi z oczu niebios dal rozbłękitniona,
A mchy miękkie rozkosznie wabią do wywczasu.

Korytarze sklepione i skryte od słońca —
Pod osłoną drzew gęstych iść tak dobrze, miło
I słuchać — Jakaś sosna, organem grająca,
Uroczystej powagi owiewa mię siłą.

Moc, moc święta spłynęła na mnie z jej konarów —
Głowę wzniosłam wysoko, ramiona roztwieram
I upajam się życiem, wzywam jego czarów,
Drogę nową, nieznaną stopom mym obieram.

Po niej wiecznie wzwyż młoda i silna iść będę!
Porywy tytaniczne owiewają czoło,
Szepcząc jakąś zaklętą herosów legiendę...
Wtym drzewa się przedemną rozstąpiły wkoło:

Jakąś przestrzeń ranami świeżych pni pokryta,
A na niej powalone bezwładne olbrzymy.

O zgon ich niespokojnym wzrokiem duch się pyta.
— — — — — — — — — — — — —
Więc po to się zmagamy? Więc po to walczymy?

Więc po to wyciągamy ku niebu ramiona?
Więc po to trwamy, w słońce wiernie zapatrzeni?
Dumnym, potężnym dębem ta kłoda zwalona
Była niegdyś i piła blask ciepłych promieni

Tysiącem rozłożystych konarów — gałęzi.
I ta sosna strzelista, pod niebo wyrosła
Nad trupami sióstr, braci w litośnej uwięzi,
I ona upaść może, ona tak wyniosła?..

Myśli, jak błyskawice, krążą i łopocą,
Rozsadzić czaszkę mogą natrętnością swoją.
I, jak echo złowieszcze, słyszę słowo: po co?
Te widma pogrzebowe duszy nie ukoją.

Bezradnie splotłam dłonie i patrzę na zwały
Drzew ogromnych, co w prochu u stóp moich leżą.
Tylko promień słoneczny budzi je zuchwały,
I tylko sosna złotą strzela nad nie wieżą.

Braknie im brzozy białej, pochylonej płaczki,
I zawodzeń żałobnych krewniaków orszaku.
Pośród traw wykwitają purpurowe maczki,
Jak krwi plamy, a drzewa, jak rycerze znaku

Pancernego dawnego, co polegli w boju.
W nieruchomej postawie towarzysze stoją

Wokół śpiących poległych. A anioł pokoju —
Promień słońca — złocistą ozdabia je zbroją.

Pobojowisko leśne — Tu szalała bitwa,
Czy burza żywiołowa, czyli dłoń człowieka
Mordercza, w topór zbrojna — I biała rybitwa —
Śmierć—z ostatnim drzew tchnieniem daleko
[ucieka.

Jeszcze w powietrzu czuję szelest smutny skrzydeł,
A przedemną bez życia i ruchu szeregi.
Bronię oczu mych dłonią od strasznych mamideł,
I duszę mi wypełnia żal i ból po brzegi.

Wreszcie klękam przy pierwszym zwalonym
kolosie,
A wargi drżące szepcą za zmarłych pacierze.
I dumam o znikomym wszystkich istnień losie,
I trwoga jakaś smutna serce w pęta bierze.

— — — — — — — — — — — — — —

Słowa tak dobrze znane: wieczne odpocznienie...
Tym, co polegli w bojach — sławy bohaterom —
I tym, którzy wciąż mroków przebijali cienie,
I tym, którzy z odrodzeń zjawili się erą,

Przesądy burzą stare, nowe prawdy głoszą
I znikają, jak inni, w pyle zapomnienia —
I tym, dla których życie było snów rozkoszą
I prysło, godne bańki mydlanej imienia —

I tym, którzy są czarni od zbrodni i winy —
I tym, którzy swe życie całe przepłakali —

Daj o, Panie!.. Pamiętaj, że to Twoje syny,
Że wszyscy wobec Ciebie — niegodni i mali.

I wspomnij, że im nieraz gasły Twoje słońca
I że mdlały zbyt słabe od walki ramiona,
Że bezsilni się gięli — że droga męcząca
Piąć się ku Twym wyżynom — że noc nieskoń-
[czona,

Beznadziejność żałobna teraz ich udziałem
Za przewiny dawniejsze — że Twa łaska może
Jednym słowem ich zbawić... Niech na Twoją chwałę
Ich oczy wytęsknione olśnią złote zorze!..
— — — — — — — — — — — — —

Utonęłam w modlitwie nad ściętemi drzewy,
Dla dusz zmarłych o światłość prosząc wiekuistą.
Zbudziły mię z łąk skoszonych ciągnące powiewy.
Nad wyrębem się rozsnuł biały tuman mglisto

I strzępami jął motać straż przednią — jałowce;
Gdzieś w łąkach niedalekich zadźwięczały kosy,—
Więc powstałam i poszłam znów w leśne manowce.
A trawy pełne były przedwieczornej rosy.

* *

MODLITWA PAŃSKA.

Wśród szarej drogi życia, w bezkresie ginącej,
Przeszkodami usianej, złomami granitu —
Zatrzymuje się duch mój zmęczony, mdlejący,
Iść już dalej niezdolny, niewidzący świtu.

Próżnię w sobie i pustkę wokół siebie czuje.
Jakaś niemoc bezmierna smutne serce krwawi,
Niewiarą i zwątpieniem dobry spokój truje;
Otchłań—rozpacz bezdenna przedemną się jawi.

Duch mój, trwogą przejęty, rozterką dręczony,
Leci w przepaść bezwolnie ciemną i niepewną,
Jako liść suchy, wichru zawieją kręcony,
Wirem oszołomiony i melodją rzewną.

Lecz, jak drobne czółenko w rozległej mórz toni
Zagubione i zdane na łaskę złej fali,
Przed okrutną zagładą wytrwale się broni,
Póki złudna iskierka nadziei się pali:

Tak dusza moja walczy, i w boju się trudzi,
I o pomoc ku Tobie zwraca się w potrzebie,

Ojcze nasz dobry, Ojcze mój i wszystkich ludzi,
Co wszechświatem rozrządzasz, a królujesz w niebie!

Pośród życia zawodów, walk próżnych i trudu,
Patrząc, jak praca ducha wciąż idzie na marne,
Jak z rozpaczną nadzieją, czekając dnia cudu,
W chłodnej bytu pustyni mrą serca ofiarne;

Jak dzień każdy im niesie zwątpienia wciąż nowe,
Ideałom podniosłym smutek klęski wróży,
W duszach otwiera rany męczeństw purpurowe,
I otchłań niepokojów, i szaleństwa burzy, —

Z prośbą błagalną wołam: Święć się imię Twoje!
Imię Twoje, o Wielki, Potężny i Wieczny!
Niechaj ono prowadzi nas przez życia boje,
Niechaj w ciemni rozbłyśnie, jak promień
[słoneczny —

Niechaj światy przebiegnie od końca do końca —
I niech ogniem najświętszym Twojego imienia
Wszystkie dusze obejmie łuna niegasnąca
Najczystszych tęsknot świata, zrodzonych
[z płomienia!

Imię Twoje z błyskawic, niebiańskiej jasności,
Imię Twojeto prawda, i Piękno, i Dobro,
Symbol wiecznie pogodnej wszechtwórczej
[miłości.
Niech pod znakiem tym w rzeszę zmienimy się
[chrobrą,

W bojowników przyszłości drużynę ochotną,
Niestrudzenie ku Jutra przedświtom idącą,
Nie zapału owianych iskierką ulotną,
Lecz natchnienia świętego falą wszechmogącą.

Żywej wiary nam promień niech w sercach
[zagości
I nadzieją ozłaca trud szary, codzienny,
Że ukoi nas kiedyś królestwo światłości
I rozpocznie byt trwały bezmroczny, niezmienny.

O nie, Panie, błagamy modlitwą namiętną,
Z głębi duszy wołając: Przyjdź królestwo Twoje!
W radość zmienić słoneczną naszą dolę smętną,
Sercom, w mrokach zbłąkanym, dać pewną ostoję —

Waśnie, spory uciszyć, niegodne zatargi,
Braci — ludzi, jak wrogów, dzielące bez końca,
By w miłości i zgodzie zamilkły te skargi,
By rozbłysła nad nami dobra tarcza słońca.

O, przyjdź ciszy królestwo z błękitnej wyżyny
I rozpocznij nad nami swoje panowanie,
By szczęście poznać mogły ziemi biedne syny,
By wśród nich zajaśniało gwiazdą miłowanie.

Panie! Ciebie prosimy: zmień naszą niedolę
I skróć nasze cierpienia, i walki, i męki,
Bośmy słabi, niemocni. Czy słyszysz te jęki?
To są skargi — nie głosy, wielbiące Twą wolę.

Lecz wyroki Twe, Wielki, są nam niezbadane.
Osłonięci ciemności zagadką idziemy —

Jasny niebios nad nami strop głuchy i niemy,
Drogi nasze cierniste, dnie — trudom oddane —

I cel życia nieznany zatraca się w toni
Bezlitośnych okrutnie upadków i wzlotów.
Próżna bytu zagadka... Z gwiazd złotych obrotów,
Kierowanych mądrością niewidzialnej dłoni,

I z harmonji cudownej całego wszechświata,
Z piękna tworów przyrody poznajemy Ciebie!
Widząc wolę Twej mocy, co pełni się w niebie,
Otulamy się ciszą... Modlitwa skrzydlata,

Pełna ufnej pokory ku Tobie wybiega:
Bądź wola Twoja, Ojcze, i nad dziećmi Twemi
Czy w złych chwilach, czy w dobrych istnienia
[na ziemi
I w wieczności u śnionej szczęśliwości brzega...

Daj nam, Panie, pokorę, co szczytów dosięga,
Co z serc, ogniem przejętych najgłębszej ofiary,
Usunie troskę zwątpień, błędnych marzeń czary
I rozwinie się cicha, jako mleczna wstęga

W upalną noc sierpniową po niebios obszarze—
I stłumi pragnień próżnych nieugięte moce,
Spokój gwiazd niosąc duchom, co w buntu po-
[mroce
Zapomniały o białych modlitw świętym żarze.

Aż, kornie pochylone u dawnych ołtarzy,
Błagalnie szeptać będą: Chleba daj nam, Panie,
Powszedniego, co naszym przez pracę się stanie,
A którą święte czynów pragnienie wymarzy.

Błogosław, Ojcze, zbożnej i wytrwałej pracy,
Co dziś jeszcze nam wyda zasłużone plony,
Które każdy otrzyma: starzec pochylony,
Dziecię małe i nędzarz, i bogacz. Jednacy

W oczach Twoich są oni — ziemi tej synowie.
Więc daj chleba dla ciała i dla ducha siłę,
Która próchna przesądów pousuwa zgniłe,
W orły górne zamieni słabe, ludzkie mrowie —

Choć my tego niegodni, bo przez całe wieki
W bratobójczej żyjemy walce, nienawiści;
Serca nasze podobne do pożółkłych liści,
Tak je zazdrość zmieniła. A nasze powieki

Od łez wiecznych czerwone, które nam wzajemna
Krzywda ciągle wyciska. Niema przebaczenia!..
Gdy jednak uraz, waśni zapomnimy brzmienia,
Gdy miłością braterską zakwitnie noc ciemna,

Jako z serca odpuścim naszym winowajcom,
Tak i Ty nam, Wszechmocny, odpuść nasze winy
I zapomnij najbardzej przestępne godziny
I podłości największe marnym Prawdy zdrajcom.

Jeśli zbłąkaną duszę żalu błyskawica
Choć na chwilę oświeci, wróżąc przebudzenie
Wśród fałszu i ciemności, które swe korzenie
Zapuściły w głąb serca, gdzie czysta krynica

Uczuć świeżych i dobrych pragnień gościć winna;
Jeśli dłoń przebaczenia wyciągnie do brata,

Co ją skrzywdził niegodnie, spraw, by grzechu szata
Duszę tę wyzwoliła, by w świat poszła inna,

Z ciemną przeszłością startą, niewinnością biała—
By pokutę czyniła z własnego natchnienia —
Niech jej smutne przywary na cnoty pozmienia
Łaska Twoja i dobroć, co ją wspomagała —

Niech po drodze światłości ręka Twa prowadzi
Tych, co żalem serdecznym dusze nawrócone
Stroją już w poświęcenia ofiarną koronę,
Którzy dobrej Twej sprawie życie przynieść radzi.

Lecz choć nagłe porywy ku słońcu nas wznoszą
I na czynów potężnych pasują rycerzy,
Jednak wrogą niemocą w sercach naszych leży
Ten głos słabej natury. Mamiącą rozkoszą

Na złudne, zakazane wciąż nas wzywa szlaki.
I wola się poddaje... Więc na pokuszenie
Nie wódź nas grzesznych, Dobry! Wszak na Twe
[skinienie
W mirażach tych powabnych ukażą się braki,

I pokusy tęczowo malowane szaty
Nęcić oczy przestaną. I dusze, wyrwane
Z pęt — więzów niewolniczych, popłyną świetlane
Wzwyż, gdzie rosną promienne szczęścia — dobra
[kwiaty,

Gdzie srebrną pianą jasne zastygły obłoki
Na szlakach nadpowietrznych błękitnej wyżyny,

Ku której można dążyć przez zmazanie winy,
Przez obalenie grzechu okrutnej opoki.

Pomocą świętą wspieraj nasze dobre chęci,
Rozbudzaj żar — natchnienie, ażeby łunami
Wiecznie gorących ogni płonęło nad nami,
Mrok i odstępstwo Prawdy grzebiąc w niepamięci.

A choć silni będziemy i dumni potęgą,
Modlitw swych nie przerwiemy i — Zbaw nas
[od złego!
Głosy Ciebie dolecą. Aniołowie strzegą
Serc, co się skromności opasują wstęgą,

Co woli swojej skrzydła hartują i męstwo
Niezłomne, stałe kryją w tajniach swojej duszy,
Lecz zła się boją. Panie! Niech to Ciebie wzruszy:
Rozprosz mroki nad niemi i daj im zwycięstwo!

Dzieci ziemi wysłuchaj o, Wielki, błaganie,
Które niosą Ci do stóp w modlitwie tej pieśni,
Niech wola Twa sny, prośby nasze ucieleśni
Przepotężnym tym słowem: Niech się wam tak
[stanie!

* *

COMMUNIO.

Jest jakieś dobro wielkie, bezkreśne, ogromne,
Które na duszę spada błogosławieństw śniegiem,
I o którym ta dusza mówi: Nie zapomnę
Przez życie całe ani za wieczności brzegiem!

Które burze w niej wszelkie koi i ucisza
I zwycięski kres kładzie wszystkim walkom serca,
Że gdyby smutna była, jako cela mnisza,
Lub krzycząca barwami wschodniego kobierca,

Lub jadem nienawiści, by rdzą przejedzona,
Lub pożądań gorących płonąca purpurą,
Od której w męce próżnej krwawi się i kona,
Lub tęskniąca, jak księżyc na nowiu za chmurą,

To w niej dobro to wszystko zetrze i wybieli,
Na falach ukojenia duszę ukołysze.
Pragnący otrzymają to, czego nie mieli,
Nad wszystko najcenniejszą — wielką, świętą
[ciszę.

Przyjdzie ona, w rozterkach i bólach nieznana,
Na skrzydła swoje dobre weźmie ludzkie dusze

I zaniesie przez szlaki błękitne do Pana,
Króry jednym spojrzeniem niweczy katusze.

Odbiegną je ból, troska, rozpacz i zgryzota,
Cierpieć więcej nie będą, bo—pragnąć przestaną.
Roztworzy się przed niemi dal, słoneczność złota.
W milczeniu witać będą tak długo czekaną,

Tak wzywaną napróżno—bezmiar szczęścia—ciszę.
Przychodzi czasem takie dobro gdzieś z błękitów
I świętą tajemnicę w sercu ludzkim pisze,
Fantastyczną legiendę praindyjskich mytów.

Cisza — otchłań spokoju — nie! dobroć bezmier-
[na,
Jakiejś wielkiej miłości wszechlitośne dłonie,
Niosące ukojenie — że nawet niewierna
Kochanka Dobra dawnym uczuciem zapłonie.
— — — — — — — — — — — — — — — —

Biel — biel jakaś srebrzysta, błękitnawa, śniona—
Obszary bielą śnieżne, jako nasze pola,
Kiedy zima nad niemi roztworzy ramiona,
Kiedy je spęta groźna, lodowa niewola —
— — — — — — — — — — — — — — — —

Pamiętam taki mroźny dzień, od śniegów lśnią-
[cy,
Gdy sankami małemi w bór wjechałam głuchy.
Wśród ciszy jeno dźwięczy głos mych dzwonków
[drżący,
Między drzewami cieni błąkają się duchy.

Poszłam sama w las dziwny, milczący i senny,
Przez zaspy brnąc nietknięte, białe, nieskalane.
Byłam sama z drzewami. Nad nami promienny
Błękit nieba daleki — Biało przyodziane

Na gody uroczyste wkoło stoją drzewa:
Strzeliste sosny, nizkie zielone choiny
Przykryła w nocy biało-srebrzysta ulewa,
Że stoją cicho, jako w welonach dziewczyny,

Na procesji niosące chorągwiane wstążki.
A krzaki jałowcowe, jak chłopcy w komeżkach,
Gdzieniegdzie zielonemi przeświecają prążki,
Smugą skier brylantowych paląc się po brzeżkach.

Zwartą gromadką jodłę otoczyły starą;
Jedna gałąź jej zeschła, nad inne wzniesiona,
Jak krzyż na czele tłumów, przenikniętych wiarą,
Jak krzyż mająca ciemne rozwarte ramiona,

Taki wielki zczerniały w rękach zakrystjana,
Który płynie na przedzie procesji wioskowej;
A za nim fala ludzi, modlitwą zbratana:
Taki orszak tworzyły w swej szacie śniegowej

Milczące drzewa boru. Szłam cicho wciąż dalej,
Aż wstrzymała mię jasna równina polany,
Tak miękka i puszysta, jak kaszmirskie szale,
A tak biała i czysta, jak świeżo zasłany

Obrus na Pańskim stole w uroczyste święto.
Wkoło drzewa pod srebrną szacią pochylone,

Jako w chwilę tajemnic Bożych niepojętą,
Kiedy się to wieczności uchyla zasłonę.

A w głębi modrzew stary, wyniosły, wysoki,
Od śniegu cały siwy—i w wzniesionych dłoniach
Słońca złotą monstrancję, spowitą w obłoki,
Trzyma, las błogosławiąc. W pochylonych skro-
[niach

Drzew zebranych tak wielkie było rozmodlenie,
Tyle szczerej pokory, szczęśliwości tyle,
Jako w naszym kościele, kiedy podniesienie
Ogłoszą liczne dzwonki, kiedy to na chwilę

Zastygają w bezruchu klęczące postacie,
W uniesieniu tamując oddechy, serc bicia —
Lub gdy po dopełnionej bezkrwawej obiacie
Ksiądz komunję rozdaje — chleb nowego życia.

I dusze, przeniknięte ogniem wiary żywej,
Rozwiązane z win przeszłych, znów skrzydeł łaknące,
W chwili cudu uczują się wolne, szczęśliwe...
— — — — — — — — — — — — — — — —
Jakieś łaski mistyczne, dobre i kojące

Spłynęły na mnie w ową przedziwną godzinę.
A ten bór, jak zaklęty, cichy pod śniegami,
Taki pełen jasności wybranej, jedynej,
Przywołany tęsknotą, wymarzony snami,

Trwa w wspomnieniach, jak Dobra najwyższe
[wcielenie,
Jako szczęście Nirwany, milczeniem bezdennej,

Jako pragnień uśpienie pełnym ukojeniem,
Jak święta antyteza życiowej Gehenny...
— — — — — — — — — — —

A dobro takie wielkie, ogromne bezmiarem,
Na duszę umęczoną, jak śnieg biały, spada
I pragnienia jej pęta ciszy świętej czarem.
A na rany jej krwawe balsamów kaskada

Płynie od owej srebrnej nieskalanej bieli,
Bo ona jest mistycznym chlebem pokrzepienia,
Który anioł milczenia między serca dzieli
I który dusze nędzne — na święte przemienia.

* *

KOLLEKTA.

Więc duch mój się uciszył i trwał w zamyśleniu,
Jak niegdyś sam wśród boru w białych śniegach
[zimy,
I, jak wtedy, odnalazł w głębokim milczeniu
Szczęście dziwne, za którym tak próżno gonimy,

Jak za marą, błyskotką. Nieraz całe życie
Bezskutecznej pogoni oddając rozrzutni,
Nigdy nie widząc kwiatu w czarownym rozkwicie,
Stąd wiecznie niespokojni, pragnący i smutni.
— — — — — — — — — — — — — — —

A wokoło mnie białe, srebrzyste opary
Z ponad leśnych trzęsawisk powstawały chwiejnie,
Bom, wędrując po lesie, zaszła na moczary,
Odległe i tak ciche, smutne beznadziejnie...

Gdzie drzewa rosły rzadko; trawy, wrzosowiska
Wystrzelały kępami z białej mgły oparów,
Bo miejscowość ta była wilgotna i nizka,
Ale pełna uroku tajemniczych czarów:

Welony mgliste, na różowych rozesłane
Wrzosach, i mchy puszyste, i trawy wysokie,

Zachodzącego słońca pożarem oblane,
Jak czarodziejskiej fantazji urokiem.

Te mgły białe, leciutkie, opalizujące,
Gdy je dotknięciem musną ostatnie promienie,
I to nad lasem w górze rozpalone słońce —
I te nad ziemią nikłe, chwiejące się cienie,

Co oplatają bujne zielone osiny,
Leszczyn bukiety, gęste zarośla i wrzosy —
Ta modlitewność tęskna wieczornej godziny —
Ten las usypiającemi rozmarzony głosy —

I te sosny wysokie o szczytach z płomieni
Na zimnej błękitnawej wschodu nieba dali —
I ten obłok, co w słońcu złoci się i mieni —
I ten zachód, co we krwi rubinów się pali —

I ta cisza... Coś struny duszy lekko trąca
Jakąś rzewną tęsknotą, głębią zrozumienia,
Że ziemia nie dla ciebię jest—kochanko słońca—
O, duszo moja, której nie da ukojenia

Nektar życia w ozdobnej podawany kruży,
I której niema miejsca w weselnym orszaku,
Bo cię radość i szczęście ziemskie prędko nuży;
Bo twa myśl zabłąkana na niebieskim szlaku;

Bo twe serce już tylko słońce ma za pana;
Bo na skrzydłach tęsknoty rwiesz się w dale
[gwiezdne
I tam już tylko szczęście widzisz — zakochana
I zapatrzona w błękit i w wieczności bezdnę —

I modlisz się już tylko o dalekie loty
I o światła przejasne, nigdy niegasnące, —
I znasz już tylko jedno cierpienie — tęsknoty,
Gdy nad ziemią zachodzi, blednie złote słońce!

* *

ITE MISSA EST...

Zagasło cicho słońce... Tylko smuga złota
Nad ciemną linją lasu świeci się i pali.
Szary zmierzch zwiewne cienie na gałązkach mota
I snuje lekkie chmurki na niebie z opali.

Las w cichość się pogrąża, w ciemną nocy ciszę.
Zioła główki schyliły na mchów miękkie łoże.
Modrzew, stary pustelnik, przywdział kaptur
[mniszy.
Na niebie już ostatnie bledną, gasną zorze...

Idzie cisza wieczorna z dali, z głębin tajnych boru,
Uśpiła ptaki w gniazdach, i drzewa, i trawy,
Objęła knieje płachtą tajemnic koloru,
By żaden wzrok przeniknąć nie mógł ich ciekawy.

Rozpostarła nad lasem swe czarne zasłony
I szła lekko po dróżkach, nie tykając ziemi
Stopą zwiewną, bo las był we śnie pogrążony.
I drzewa się nie chwiały, bo cisza nad niemi

Wyciągnęła swe dobre, błogosławiąc, dłonie
I krzesała świetlików iskierki złociste,

Aby dojrzeć drzew wszystkich pochylone skronie,
Oplątane w welony mgieł smętne i mgliste;

I nad niemi, jak wieszczka, szeptała zaklęcia,
Nieznane uroczyste błogosławieństw słowa —
I, jak matka dziecinę, las brała w objęcia
I szła wśród drzew, jak dumna, a dobra królowa

W dworaków swoich wiernych ukochanym tłumie,
Aż nagle klękła sama — i dla swego ludu,
Co stał wokół milczący w swej tęsknej zadumie,
Zaczęła prosić rzewnie o godzinę cudu...

* *

OSTATNIA EWANGIELJA.

W ciemne gąszcze blask spłynął... Srebrzysty i nowy
Miesiąc z za krańców lasu wyjrzał niespodzianie.
Smugi jasne oprzędły drzew poważne głowy,
Spływały po gałązkach trwożne, jak kochanie

Pierwsze serca młodego, po ścieżkach błądziły,
Połyskliwe, radośne szepcząc objawienie:
Że światłu niema równej potęgi i siły,
Że przed nim pierzchnąć muszą złe, żałobne cienie.

Biegły wzdłuż pni sosnowych — promienne,
[świetlane —
I puszyste mchy długo, słodko całowały.
Konwaljowe kielichy, rosą napełniane,
Muskał lekko promyczek, dziecinnie nieśmiały.

Pieszczotą swą kojącą miesięczna poświata
Zawisła ponad ziemią, tworząc czary, dziwy,
Biegła w leśne bezdroża, jako wieść skrzydlata.
— — — — — — — — — — — — — — —
I bór ożył i w blaskach poczuł się szczęśliwy,

Wierzył, tęsknił i czekał, że znów błyśnie słońce,
Że nad mrokiem zwycięstwo światła ostateczne
Głoszą owi srebrzyści upragnieni gońce...
— — — — — — — — — — — — — —
Szczęście przyjdzie ogromne, przecudowne,
[wieczne!...

* *

Łomża — Kijów — 1915 rok.